

JAK UCYWILIZOWAĆ DZIKUSA

Był prawdziwym dzikusem wyrosłym gdzieś na południowo-zachodnim krańcu Polski, na peryferiach Wałbrzycha.

Rodzice nie oddawali go do żłobka, bo wtedy, w latach pięćdziesiątych nie było takiego zwyczaju, nie wiem nawet, czy wtedy były żłobki. Nie chodził też do przedszkola, choć przedszkola istniały, funkcjonowały głównie przy dużych zakładach pracy.

Rodzicom to jednak nawet nie przyszło do głowy. Po co? Czy w domu było mu źle? Skoro matka nie pracowała, to nie było potrzeby wyręczania się przedszkolem w wychowaniu dziecka. To, że w domu była jeszcze dwójka młodszych dzieci, niczego nie zmieniało.

Rodzice wychowywali go najstaranniej jak tylko potrafili. Był bystrym dzieckiem, skorym do najróżniejszych psot. Szybko się uczył, zarówno dobrego, jak i złego. To dobre wpajała mu matka, do której był bardzo przywiązany. Ona mu też na wiele pozwalała, może nawet na zbyt wiele. Ojciec był bardziej niedostępny, nie miał zresztą zbyt dużo czasu dla dzieci. Większość jego czasu pochłaniała w tamtym czasie ciężka, fizyczna praca a po niej jeszcze ogród i kawałek pola w pobliżu domu.

Mały smyk nie mógł usiedzieć na miejscu. Poza domem łobuz miał pełną swobodę. Mieszkali na peryferiach miasta, na Szczawienku, przy ulicy Ogrodowej. Wokół były pola, łąki, staw i głęboki wąwóz kolejowy z czystym potoczkiem płynącym po bokach, wzdłuż torów. Równin było niewiele, przy ulicy Ogrodowej stało tylko 9 małych, starych domów. Od tych kilku kolegów mieszkających w sąsiedztwie, podobnych jak on łobuzów, mógł się tylko nauczyć jak rozrabiać i przeklinać. Rósł więc samopas, z grubsza tylko od czasu do czasu temperowany przez rodziców.

Rodzicom było ciężko. Ojciec pracował fizycznie, ale huta to jednak nie kopalnia, gdzie zarobki były dużo większe. Poza tym w domu była jeszcze dwójka młodszych dzieci, którym też należało zapewnić przyzwoity byt. Matka nie pracowała, musiała zajmować się całym tym stadem. Starła się poprawić domowy budżet dorabiając szyciem dla znajomych. Ale w naszym wspólnym społeczeństwie zawsze znajdzie się jakiś wredny donosiciel. W efekcie urzędnicy skarbowi zaplombowali matce maszynę do szycia i to dodatkowe źródło dochodów się skończyło. Pewnie była to zwykła ludzka zawiść: dlaczego oni mieli mieć lepiej?

Rodzice naszego, małego łobuza trzymali się raczej na uboczu, z nikim specjalnie się nie przyjażniąc. Ojciec nie brał udziału w popijawach urządzanych przez kolegów z huty, a po ośmiu godzinach pracy spędzonych przy piecach w odlewni, często pracował jeszcze w ogrodzie i w polu, gdzie sadił ziemniaki, marchew i fasolę, a dla żony jej ulubione gladiole, czyli mieczyki. Matka wyznawała starą, mądrą zasadę: „nie mów nikomu co się dzieje w twoim domu”.

Mimo ich starań codzienne życie nie było łatwe.

Wtedy w głowach rodziców pojawił się pomysł wyjazdu z tego nieżyczliwego kraju do krewnych mieszkających we Francji. Tam żyła cała rodzina jego matki i ojca. Nie było to jednak takie proste, na wyjazd trzeba było uzyskać zgodę władz. Rodzicom naszego dzikusa takiej zgody odmówiono, właściwie bez podania przyczyny. Tak chciał los, choć w tym przypadku reprezentowany przez jakiegoś ważnego urzędnika. Dzięki temu nasz bohater nie został naturalizowanym Francuzem, tylko z krwi i kości Polakiem.

Nieco później pojawił się szalony plan wyjazdu przynajmniej na jakiś krótki czas i choćby tylko jednej osoby. Miał to być wyjazd na okres jednego miesiąca w celu odwiedzin rodziny mieszkającej tam, w północnej Francji. Z takim pomysłem wyskoczył kuzyn ojca mieszkający w Sułkowicach, wsi w której ojciec się urodził, i skąd jego rodzina wyemigrowała do Francji w poszukiwaniu lejszego życia. Sułkowice były wówczas prawdziwą wsią, położoną koło Myślenic w województwie krakowskim.

Ten kuzyn posiadał potężny motocykl firmy BMW z przyczepą, który trafił do jego rąk pod koniec wojny. Gdy Niemcy porzucali wszystko w ucieczce przed Armią Czerwoną, po prostu schował go do swojej stodoły. A że miał wyjątkową smykałkę do wszelkich urządzeń mechanicznych, to po odejściu Niemców w jego stodole znalazły się dwa motocykle: wspomniany BMW z przyczepą i mniejszy motocykl firmy DKW. Do tego jeszcze sporo dodatkowych części do obu pojazdów.

I właśnie wtedy, w 56 lub 57 roku obaj mężczyźni wymyślili, że właśnie na tym BMW z przyczepą będą mogli dotrzeć do Francji. Mieli stamtąd przywieźć jak najwięcej różnych dóbr, aby pomóc w utrzymaniu swych rodzin.

Po wielu perturbacjach, otrzymali od władz państwowych zgodę na jednomiesięczny wyjazd, a następnie wizę francuską i wizy tranzytowe. No i wyprawa się udała. Historii tej wyprawy nie będziemy śledzić, wymagałaby osobnego opowiadania, więc ją pominiemy.

Wrócili bezpiecznie. Duża przyczepa motocykla załadowana była wszelkimi, niedostępnymi u nas dobrami aż na wysokość człowieka. Pakunek był dobrze zamocowany pasami i zabezpieczony przed wiatrem i deszczem. Ubrania, środki piorące, motki wełny (matka robiła na drutach swetry, czapki, rękawiczki i tego rodzaju rzeczy), prawdziwa kawa, a nawet zabawki dla dzieci, to była bardzo duża pomoc, porównywalna z wielkim zastrzykiem finansowym.

W czasie nieobecności ojca dom i dzieci były na głowie matki. Całe szczęście, że było podwórze, ogród i rozległe pola, gdzie dzieci mogły spalić energię, która ich rozsadzała. Dzikus szalał na małym rowerku i wszędzie go było pełno. To nie było spokojne dziecko. Zdarzały się bardzo niemądre zabawy, prowokowane zazwyczaj przez tego dzikusia, takie jak na przykład wspinaczka na drzewa - kto wejdzie najwyżej, lub gonitwa po dachach komórek stojących w podwórzu za domem. Wystarczyła chwila nieuwagi i jego młodszy brat zjechał po papowym dachu komórki i spadł wprost na płot z drewnianych sztachet. Na szczęście skończyło się tylko wezwaniem pogotowia, zaszyciem rany i śliczną blizną na pośladku, która została mu na całe życie.

Aż nadeszła ta straszna chwila, kiedy skończyła się radosna beztroska. Uprzedzano go, że kiedyś ta chwila nastąpi i skończą się wygłupy, ale i tak była to dla niego wielka, niewyobrażalna niewiadoma i gwałtowna zmiana. Mama mówiła, że w szkole będzie się uczył wielu ciekawych rzeczy, pozna nowych kolegów, z którymi też będzie mógł się bawić i w ogóle będzie bardzo przyjemnie.

Było to jednak ciężkie doświadczenie. Pierwszego września 1959 roku matka odprowadziła go do szkoły podstawowej nr 20 mieszczącej się przy ulicy Róży Luksemburg. Zobaczył stary, dość ponury budynek z czerwonej cegły i wylęknione grupki dzieci stojące na podwórzu przed schodami wejściowymi. Odruchowo przysunął się do matki i mocniej złapał ją za rękę. Ciężkie brązowe drzwi zatrzasnęły się za nimi i jakaś pani skierowała ich do sali gdzie przyjmowano pierwszaków.

W sali pachniało farbą i pastą do podłóg. Było coraz bardziej nerwowo. Matki stały pod ścianą a maluchy posadzono w ciężkich, dwuosobowych, drewnianych ławkach, pomalowanych na zielono. Weszła jakaś pani, podejrzenie wesoła i uśmiechnięta, witała dzieci. Nasz dzikus nie mógł się skupić, patrzył wokół na ściany, okna i drzwi, i ogarniał go coraz większy strach.

Po jakimś czasie pani poprosiła, aby mamy pożegnały dzieci i odeszły pozostawiając swoje pociechy jej opiece. No i zaczęło się. Dzieci wyłaziły z ławek, czepiały się matek i płakały: „Mamo, ja nie chcę”, „Mamo, ja chcę do domu”, „Mamo nie zostawiaj mnie”. Nasz ancymon też ryczał jak się patrzy. Nic to nie pomogło, chociaż matce „krajało się serce”.

Nie chciał tam chodzić, przez wiele pierwszych dni matka musiała odprowadzać go zapłakanego i opierającego się przed wejściem do szkoły. Niestety, to niczego nie zmieniało i w końcu, chcąc nie chcąc, musiał pogodzić się z tym, że od szkoły nie ucieknie. Chociaż i tego czasem próbował. Dotąd żył w innym świecie, ale jak mus to mus, musiał w końcu się przystosować.

Kiedy matka przestała go odprowadzać musiał samodzielnie dojeżdżać do szkoły tramwajem. Wsiadał na przystanku za wiaduktem przecinającym ulicę Wrocławską, przy fabryce lin i siatek. Stamtąd były tylko dwa przystanki: jeden przy Hucie „Karol”, drugi przy hucie szkła, czyli przy wałbrzyskiej „Lustrzance”. Kiedy miewał te swoje napady buntu, nie wsiadał do tramwaju tylko pieszo włókł się noga za nogą w kierunku szkoły. Może się tak szczęśliwie zdarzy, że kiedy w końcu do niej dojdzie, lekcje już się skończą?

Szkoła to było więzienie, a po drodze do niej było przecież mnóstwo niesłychanie ciekawych rzeczy, znacznie ciekawszych niż rysowanie obowiązkowych szlaczków (grzybek, choinka, domek, grzybek, choinka, domek, itd.) albo nauka liczenia na patyczkach.

Na przykład w miejscu gdzie obecnie znajduje się park Sybiraków było wysypisko odpadów z „Lustrzanki”. Te kawałki stłuczki w postaci mlecznego albo kolorowego, ślicznie opalizującego szkła, budziły wyobraźnię, wręcz przypominały bajki o szklanej górze albo o Ali Babie i skarbach ukrytych przez rozbójników w sezamie.

Te napady buntu zdarzały się mu najczęściej w czasie niepogody. Kiedy po deszczu ulicznymi rynsztokami płynęła woda, można było puszczać na nią słomki albo jakieś niewielkie patyczki i pędzić za nimi. W Wałbrzychu wszędzie jest albo z góry albo pod górkę, nie ma płaskich ulic, więc z góry woda spływała szybko. Wyobraźnia zamieniała te słomki w łodzie lub okręty napotykające po drodze liczne zakręty i przeszkody; najgorsze były kanały, bo tam te jego okręty ginęły.

Przy ulicy Róży Luksemburg, już blisko szkoły, tuż przy chodniku stała murowana stacja transformatorowa, na której drzwiach widniała tabliczka z trupią główką i napis, który z trudem odczytał: „Uwaga. Nie dotykać”. W czasie mgły lub mżawki coś tam dziwnie trzeszczało wokół drutów odchodzących z tego budynku. To też było bardzo intrygujące.

Szkoła mu się nie podobała. Stary budynek z czerwonej cegły, drewniane ławki pomalowane na szaro-zielono, oraz drewniane podłogi z szerokich, pastowanych desek w kolorze brudnego brązu - to wszystko sprawiało raczej przygnębiające wrażenie.

Do tej pory nauka z matką i ojcem była przede wszystkim zabawą, dzięki nim umiał już jako tako czytać, rodzice potrafili zainteresować go małymi, tanimi książeczkami z serii „Poczytaj mi mamo”. „Murzynka Bambo” Juliana Tuwima potrafi nawet dziś, po wielu latach wyrecytować w całości.

W szkole było inaczej, zabawa była tylko na przerwach, poza tym był rygor. Do tego obowiązkowy, granatowy fartuch z białym kołnierzykiem. To od tamtego czasu pozostał mu trwały

uraz do wszelkiego rodzaju mundurów. Potem zaczęła się nauka pisania; zaczynało się od kaligrafii. Polegało to skrobaniu rzędu tych samych literek, z odpowiednimi wywinięciami, które musiały mieścić się w liniach wydrukowanych w szkolnych zeszytach. Zeszyty były albo w linie albo w kratkę. Pisało się korzystając z obsadki z wciśniętą w nią stalówką. Obsadkę, a właściwie tylko stalówkę, maczało się w szklanym kałamarzu z niebieskim atramentem. Kałamarz z kolei umieszczony był w otworze wyciętym pośrodku pulpitu, tworzącego całość wraz z zieloną, dwuosobową ławką. W górnej części pulpitu były też po obu stronach szerokie rowki, gdzie należało odkładać ołówek lub pióro, czyli obsadkę ze stalówką. Często, atramentowe kleksy likwidowało się bibułą, a potem, co staranniejsi, próbowali jeszcze ukryć je zacieając poplamione miejsca kredą.

Na wysiłki dzieci spoglądały ze ścian portrety osób, których wtedy jeszcze wcale nie znał. Były to twarze pierwszego sekretarza Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej, Władysława Gomułki i premiera rządu, Józefa Cyrankiewicza.

W przerwach między lekcjami nauczyciele-wychowawcy organizowali wspólne śpiewy i zabawy, które poprawiały nieco te niezbyt miłe, pierwsze szkolne doświadczenia. To mu się nawet podobało, bo w domu często się śpiewało. Dzieciaki darły się: „Gdy dzwoneczek się odezwie, biegniemy do szkółki”, albo „Karuzela czeka woła nas z daleka, starsi już poszli a młodzi jeszcze nie, hej hopsasa, jak ona szybko mknie, hej dalej, dalej, do zabawy spieszmy się”.

On starał się nie krzyczeć tylko śpiewać starannie, tak jak go uczył ojciec.

Dzieci były różne, nie wszystkie sympatyczne. To właśnie w tej szkole, poza nauką, która nie sprawiała mu żadnych problemów, pierwszy raz spotkał się też ze złośliwością, zazdrością, złodziejstwem i przemocą kolegów. Nauka matematyki czyli rachunki zaczynały się od patyczków, za to podczas przerw, na podwórku, często dochodziło do rozrachunków z kolegami i do dość częstych potyczek.

Musiał odpowiadać na te zaczepki, musiał wyrobić sobie pozycję i niezależność – tym bardziej, że był od nich młodszy; rodzice wysłali go do szkoły w wieku sześciu lat. Na szczęście był dość wysoki jak na swój wiek, do tego zwinny i sprawny, więc nie pozwolił nikomu na popychanie i poniżanie.

Tuż obok szkoły, na parterze sąsiadującej z nią starej kamienicy mieścił się wspaniały sklepik, uwielbiany przez wszystkie dzieciaki. Można tam było za bardzo drobne pieniądze kupić słodką, żelową, ciągnącą się białą myszkę albo cukrowe papierosy sprzedawane na sztuki. Starsi koledzy ze szkoły, ci bardziej rozrabiający, odkryli, że jeśli będzie się długo żuć parafinową świeczkę to można z niej otrzymać gumę do żucia. A że przy tym trzeba było dużo płuć, no to trudno, nic nie ma za darmo.

Jakoś udało mu się przeżyć tę pierwszą klasę. Na koniec wszystkie dzieci dostały pamiątkową fotografię sporządzoną przez zamówionego fotografa. Każde dziecko otrzymało indywidualny portret, na którym zwyczajowo przedstawiano je siedzące przy pulpicie, w szkolnym fartuchu z białym kołnierzykiem, z piórem w ręku. Obok, dla ozdoby stał kwiatek doniczkowy, zwykle fiołek alpejski lub pelargonja. Fotografia była czarno-biała, lekko podkolorowana różową bibułą.

W następnej klasie było już nieco lepiej, przyzwyczał się do powtarzalnego, codziennego rytmu. Już wtedy ujawniły się u tego dzikusy pewne cechy charakteru, które z czasem jeszcze się umocnią. Z jednej strony była to nieśmiałość i skrytość, a z drugiej nadmierna łatwowierność a nawet naiwność. Gdy ktoś zwracał mu uwagę na niewłaściwe zachowanie, zachmurzał się, spuszczał głowę i patrzył w ziemię. Z drugiej strony często brał za prawdę kłamstwa,

które ktoś mu z przekonaniem przekazywał. Z czasem, po wielu przykrych doświadczeniach, też nauczył się dobrze kłamać. Zwykle po to, aby uniknąć wymówek i mieć święty spokój. Już wtedy dały się też zauważyć u niego pierwsze oznaki kłopotów ze wzrokiem. Nie potrafił, nawet mrużąc oczy, patrzeć w ostre słońce; na zachowanych zdjęciach widać jak osłania sobie oczy ręką albo wręcz odwraca głowę.

W 1962 roku miał pójść do pierwszej komunii świętej. Rodzice nie byli zbyt religijni, sami do kościoła chodzili rzadko, tylko od wielkiego dzwonu, znacznie częściej bywali w kinie. Ale dzieci ochrzczili i nie widzieli niczego złego w nauce religii. Religii nie nauczano w szkole, szkoła musiała być świecka. Nauka katechizmu i przygotowanie do pierwszej komunii świętej odbywały się w niewielkiej salce przy kościele Najświętszej Marii Panny w parafii na Piaskowej Górze. Lekcje religii odbywały się po lekcjach, były okropnie nudne i po kilku czy kilkunastu pobytach nasz dzikus stwierdził, że można ten czas spędzić o wiele ciekawiej.

Na przykład, można było w tym czasie odwiedzać Lolka, szkolnego kolegę, który na lekcje religii nie chodził, ale miał za to mnóstwo niesłychanie ciekawych książek, między innymi niezapomniane bajki Jana Brzechwy. Jego rodzice także byli zadowoleni, że synek ma kolegę, z którym się dobrze rozumieją i którego interesują książki.

A jego przede wszystkim fascynowały ilustracje, podziwiał wspaniałe, niepowtarzalne rysunki Jana Marcina Szancera, niedoścignionego mistrza ilustracji, genialnego rysownika i grafika. Ponieważ, zamiast brać udział w lekcjach religii, wolał czytać Brzechwę i Andersena, oraz oglądać rysunki Szancera, luki w znajomości katechizmu miał ogromne. Tymczasem termin pierwszej komunii zbliżał się nieubłagane. Kiedy pojawił się wreszcie na lekcji religii i kryjąc się usiadł w kącie salki, usłyszał od księdza, że nie zostanie dopuszczony do komunii świętej, ponieważ nie uczęszczał na zajęcia.

To go ogromnie wystraszyło; co powie rodzicom a szczególnie ojcu? Bał się, ale w końcu musiał im o tym powiedzieć. Wyżałił się i wypłakał, ale tylko matce, która bardziej go rozumiała. Narzekał na księdza, który złośliwie nie chciał go dopuścić do komunii, mimo że znał przecież cały katechizm na wylot. Doprowadził do interwencji matki, w wyniku której ksiądz łaskawie zgodził się na przeprowadzenie egzaminu.

Dzikus wykuł cały katechizm na blachę i ksiądz nie mógł go na niczym zagiąć; nie mógł już twierdzić, że jest nieprzygotowanym.

Po tak zdanym egzaminie łaskawie pozwolono mu przystąpić do uroczystej mszy i pierwszej komunii świętej razem z pozostałymi rówieśnikami. Ale jakoś wciąż czuł się kimś trochę gorszym od kolegów. Stąd brała się jego chmurność i nieufność, a czasami nawet wrogość w stosunku do otoczenia. Z nikim z grupy chłopców przystępujących do komunii nie przyjaźnił się, żadnego nawet nie lubił.

Trzymał się z boku, oni zresztą też uważali go za dzikusa, ale bali się go zaczepiać. Trochę się wstydził, bo co tu dużo gadać, jego rodzina była biedna i to było widać. Na tę wielką uroczystość miał przygotowany ciemny garniturek, który uszyła mu matka, ale już jako jedyny chłopak z całej grupy nie miał białych rękawiczek. Od chrzestnego dostał swój pierwszy zegarek. Był to rosyjski zegarek marki „Moskwa”.

Niespodziewanie nastąpiła druga wielka zmiana w jego życiu. Była to bardzo istotna zmiana w życiu całej jego rodziny. Tą zmianą była przeprowadzka do nowego mieszkania, znajdującego się w wielorodzinnym bloku, wzniesionym na nowym, wałbrzyskim osiedlu. W kraju wciąż jeszcze panowała powojenna bieda, ale coś tam powoli zmieniało się jednak na lepsze. O wszystkim wciąż decydowała partia – PZPR. Zakładowe organizacje partyjne decydowały

też o przydziale mieszkań zakładowych. Jego ojcu obiecano mieszkanie zakładowe „Huty Karol”, które miało być w jednym z pierwszych budynków wznoszonych na osiedlu „Piaskowa Góra”. Ponieważ jego ojciec nigdy nie był członkiem partii, bo jak mówił w hucie zapisywali się do niej tylko cwaniacy i darmozjady, musiał więc długo upominać się o przydział na to mieszkanie i do znudzenia przypominać o sobie zakładowemu sekretarzowi PZPR. Kiedy to nie pomagało uderzył wprost do pierwszego sekretarza komitetu miejskiego. Dzięki temu, w końcu nastąpił ten wielki dzień; przeprowadzka była dla całej jego rodziny wielkim świętem.

Zamiast jednego pokoiku z kuchnią mieli teraz trzy jasne pokoje z kuchnią i łazienką, a wokół wielką budowę. Ten wspaniały lokal mieścił się na parterze czteropiętrowego i czteroklatkowego bloku mieszkalnego, wzniesionego z żelbetowych prefabrykatów. Zmiana mieszkania pociągnęła za sobą cały szereg kolejnych zmian. Dzieci podrosły, więc matka naszego dzikusy poszła do pracy, ojciec zmienił pracę; nadal pracował w „Hucie Karol” ale już nie na wydziale odlewni, tylko w modelarni.

Najważniejszym było jednak to, że nasz bohater przeszedł do nowej szkoły – jednej z pierwszych wałbrzyskich tysiąclatek, która otrzymała numer 29 i imię Tadeusza Kościuszki.

„Tysiąc szkół na tysiąclecie państwa polskiego” – to nie było czcze hasło. Nowa szkoła była wspaniała. Dzięki dużym oknom w klasach było bardzo jasno, pomieszczenia były przestronne, wewnątrz w budynku mieścił się też duży, jasny hall i szerokie korytarze. W środku szkolnych zabudowań znajdował się jeszcze dziedziniec – atrium, gdzie odbywały się apele i inne szkolne uroczystości. Krytym łącznikiem o przeszklonych ścianach przechodziło się do sali gimnastycznej. W takiej szkole aż chciało się uczyć. Wszystko było jakieś nowe, świeże, rozświetlone i ciepłe. Nawet nauczyciele byli inni – w nowej szkole pracowali nowi ludzie, nauczyciele pasjonaci.

Dzieci też były jakieś inne. Koledzy i koleżanki byli życzliwsi, bardziej przyjaźni. To pewnie był wpływ otoczenia i nauczycieli, którzy naprawdę chcieli dzieci zainteresować swoimi lekcjami. Duży teren wokół szkoły także był zagospodarowany; był tam duży plac przed szkołą, teren sportowy z boiskiem do piłki nożnej i z bieżnią do skoków, a nawet ogród uprawiany przez uczniów pod okiem nauczycielki biologii, pani Anny Ćwiklińskiej. To była jego wychowawczyni. Była to mądra i ciepła kobieta, której dzieci wcale się nie bały, lecz wręcz do niej Ignęły; wśród nich był nawet ten dzikus. Zaskarbiła sobie jego przywiązanie, gdy podczas jednej z wypraw na okoliczne pola i łąki, pochwaliła go za znajomość wielu traw i ziół, oraz roślin uprawnych. Ta jego „pani” była naprawdę wyjątkową osobą, szczerze oddaną pracy z tymi małymi leniami i huncwotami, czyli całą tą zbieraniną z Piaskowej Góry.

Zabierała ich na wycieczki do Zagórza Śląskiego, do zamku Grodno, wędrowali też na zalesione Wzgórze Giedymina, gdzie stały jeszcze resztki budowli, która dawniej była restauracją i wieżą widokową „Wilhelmshöhe”. Tuż obok widoczne były także pozostałości po skoczni narciarskiej a na łące poniżej znajdował się duży, zarybiony staw z wysepką, na której stał betonowy bunkier.

Jeździli z nią nawet do strażnicy wojskowej położonej gdzieś w górach na granicy z Czechosłowacją. Wtedy nikt nie zastanawiał się dlaczego na granicy z bratnim krajem socjalistycznym musi być pas zaoranej ziemi, na którym widoczny jest odcisk każdej stopy ludzkiej, i dlaczego wopięści (WOP – to Wojska Ochrony Pogranicza) muszą regularnie kontrolować granicę naszego państwa, i to wraz z psami, które miały poczuć każdy obcy zapach. Wtedy było to przyjmowane jako rzecz normalna, a żołnierze dzieciakom imponowali.

Nasz dzikus chodził teraz do szkoły z radością i chłonał wszystko jak gąbka. Nauka go nie męczyła, lekcje go nie męczyły, ale nie potrafił zbyt długo przesiadywać nad zadaniami domowymi. To były czasy kiedy w każdej rodzinie były dzieci – owoce powojennej euforii i wiary w nowe, lepsze życie. Dlatego, nawet na osiedlu, które dopiero powstawało i miało wówczas zaledwie kilka bloków i trzy uliczki, przy których zbudowano szeregi domków jednorodzinnych, tych dzieci było naprawdę sporo. Znajomości nawiązywało się szybko, w domu się nie siedziało, życie kwitło na podwórku i na okolicznych polach, gdzie trwała budowa lub prowadzono wykopy pod kolejne budynki. Taka wolność bardzo odpowiadała naszemu dzikusowi. Przy szkole było prawdziwe boisko z prawdziwymi bramkami, ale można było też grać koło domu, na podwórku przed blokiem, gdzie zamiast słupków ustawiało się duże kamienie, albo bramki były świeżo posadzone drzewka, które przez to miały marne szanse na przetrwanie. Na podwórku mieli jedną, prawdziwą, skórzaną piłkę „do nogi”. Była już zdarta prawie do zera, ale po szyszy szewską dratwą można było jeszcze nią grać.

W latach sześćdziesiątych ludzie pasjonowali się piłką nożną, kolarstwem, lekką atletyką i boksem. Królowała piłka nożna; wszyscy znali drużyny Górnika Zabrze i Ruchu Chorzów, a w Wałbrzychu konkurujące ze sobą zespoły „Thoreza” i „Górnika”. Idolami byli tacy piłkarze jak Szymkowiak, Oślizło a nieco później Włodzimierz Lubański. Przy każdym większym zakładzie pracy istniał klub piłkarski. Huta Karol miała klub sportowy „Czarni” Wałbrzych, którego zawodnicy rozgrywali mecze na boisku położonym w sąsiedztwie rzeki Pełcnicy. Boisko było ogrodzone, ale o żadnych „piłkochwytach” nie było wtedy jeszcze mowy, więc gdy któryś z piłkarzy posłał piłkę „Panu Bogu w okno”, często lądowała w rzece, której prąd ją porywał i unosił. W takiej sytuacji ktoś z obsługi łapał szybko wielki drąg z siatką na końcu i biegiem pędził łowić piłkę. To nic, że woda w rzece była czarna od płukania węgla w kopalniach i trochę śmierdziała; prawdziwa piłka skórzana była rzeczą zbyt wartościową aby ją porzucić.

Kolarski Wyścig Pokoju był w tamtych latach świętem narodowym. W maju wszyscy wsluchiwali się w relacje radiowe, a w późniejszych latach również telewizyjne, przeprowadzane z trasy pomiędzy Warszawą, Berlinem i Pragą. Wszyscy znali nazwiska najlepszych kolarzy takich, jak: Schur czy Królak. Oficjalnymi organizatorami wyścigu były gazety: Trybuna Ludu, Neues Deutschland i Rude Pravo. Nasze podwórkowe wyścigi były także pasjonujące. Na asfaltowej ulicy rysowało się krętą i długą trasę, wytyczaną przez dwie, mniej lub bardziej równoległe linie, podzieloną oczywiście na etapy i lotne premie. Na starcie ustawiało się kapsle z butelek – czyli kolarzy. Uczestnicy zabawy kolejno pstrykali swoimi kapslami w taki sposób, aby „kolarz” znajdował się pomiędzy wyznaczonymi liniami. Można było pojechać na skróty, ale jeśli wyleciało się z trasy, trzeba było wrócić na linię poprzedniego etapu. Wygrywał oczywiście ten, kto pierwszy dotarł na linię mety.

Telewizory były jeszcze rzadkością, nikt nie przesiadywał przed telewizorem. Ogromną popularnością cieszył się amerykański serial filmowy o Zorro. Raz w tygodniu dzieciaki z okolicy zbierały się u Tadka, mieszkającego w pobliżu szkoły, którego rodzice mieli już telewizor. W dużym pokoju rozstawiano krzesła, dzieciarnia i sąsiedzi zasiadali na nich i w ciszy oczekiwali na rozpoczęcie spektaklu prezentowanego na małym czarno-białym ekraniku. Zorro w pelerynie, kapeluszu i masce bronił ciemieżonych, meksykańskich chłopów i drwił sobie z hiszpańskich żołnierzy, szczególnie z naiwnego i prostodusznego grubasa, sierżanta Garcii. Na ścianach budynków, na komórkach, nawet na kubłach na śmieci dzieciaki rysowały znak „Z”.

Kiedy później emitowany był serial o Wilhelmie Tellu chłopaków opanował z kolei szal strzelania z kuszy. Te kusze zbudowane były z kawałka odpowiednio wystruganego drewna z rowkiem na pocisk i otworem na spust, wykonany z odpowiednio wygiętego, twardego drutu. Do tego trzonu zamocowany był drewniany wieszak na ubrania, a do jego końców przywiązana była guma, którą się mocno naciągało i blokowało na spuscie. Pociski, czyli bełty, wykonywane były z ostruganych patyków. To naprawdę nieźle strzelało, aż dziwne, że nikomu nic się nie stało.

Kiedy powstał film „Krzyżacy”, na wzór bitwy pod Grunwaldem niezmordowana dzieciarnia, wraz z naszym dzikusiem, urządziła wielką bitwę pomiędzy Piaskową Górą a Szczawienkiem, rozgrywającą się na pustych polach, już nie oranych i obsiewanych, bo przygotowywanych pod rozbudowę osiedla mieszkaniowego. Chłopaki mieli drewniane tarcze i miecze, tłukli się ostro, było sporo guzów i siniaków ale do żadnej tragedii nie doszło.

Pomysłów nie brakowało. Kiedy w szkole nasz bohater usłyszał o badaniach archeologicznych i wykopaliskach, namówił paru kolegów i wspólnie postanowili rozkopać pobliską, dość dziwnie wyglądającą górkę. Uzbrojeni w łopaty i motyki zaczęli kopać u jej podnóża. Faktycznie pod warstwą gleby zaczęły ukazywać się jakieś ciekawe skorupy. Okazało się, że było to dawne, niemieckie śmietnisko, a odkryte skarby to były połamane naczynia porcelanowe, stare garnki i inne rupiecie.

Lepiej było zbierać złom; wykopane metalowe śmieci składowali w studziencie kanalizacyjnej, w piwnicach ich bloku mieszkalnego. Wydobywanie złomu z „wykopalisk” było dość trudne, łatwiej było zbierać metalowe rzeczy porozrzucane na terenie budowy kolejnych budynków Piaskowej Góry. To było dużo łatwiejsze i szybsze, szczególnie jeśli na dno wózka wrzuciło się żeliwny grzejnik centralnego ogrzewania i przysypało dla niepoznaki innymi, drobnymi stalowymi rupieciami. Liczyła się waga. Za pieniądze uzyskane ze sprzedaży złomu można było kupić prawdziwe skarby: karty do gry w Piotrusia, szczyryk z jednym ostrzem (z dwoma był droższy), a nawet latarkę.

W czasie wakacji dzieci wyjeżdżały na kolonie albo do rodziny na wieś. Przez kilka pierwszych szkolnych lat rodzice wysyłali swojego dzikusa i jego młodszego brata na wieś, do Sułkowic (które dopiero znacznie później otrzymały prawa miejskie), gdzie pozostawiali pod opieką tego kuzyna, z którym ojciec odbył wspomnianą, motocyklową eskapadę do północnej Francji. Nasz dzikus mówił do niego po prostu wujek. Po dwóch miesiącach pobytu w Sułkowicach, których domostwa rozciągały się nad Skawinką i Gościbią, chłopak pięknie mówił podhalańską gwarą, której musiał się potem przez dłuższy czas oduczać w Wałbrzychu. Zwykle, normalne dialogi w rodzaju:

„- Kaj idzies?

- A hań do potoka. Idzies ze mnom ?

-Nie kce mi się.

- A idzze, idzze, leniu.”, były przecież nie do przyjęcia po powrocie do domu. Najtrudniej było pozbyć się góralskiego akcentu.

Pasał tam krowę, która nazywała się Malina, łowił ryby w Skawince, które zaraz potem, wraz z miejscowymi kolegami, smażyli na patelni, albo wprost na blasze pieca kuchennego, rozkoptywał gniazda trzmieli a nawet pomagał jak umiał przy żniwach i w kuźni.

W Sułkowicach kuźnie były w każdym domu i przy każdej chałupie. Miejscowi gospodarze z dziada pradziada byli jednocześnie kowalami. W całej wsi, każdego dnia poza niedzielą, dzwoniły młoty i kowadła. Ich specjalnością był wyrób metalowych narzędzi, różnych kleszczy, obcęgow i nożyc. Kiedy sprzedali partię towaru zawsze część wsi była pijana.

Wracali wieczorem gościńcem i darli się, przepraszam, śpiewali w niebogłosy. Ale byli weseli. Jego wujek nie pił. Nie wiadomo dlaczego, coś musiało się kiedyś stać, bo we wsi nikt nie stronił od butelki. Wujek był we wsi figurą, dużo wiedział i potrafił ciekawie opowiadać, udzielał się w Ochotniczej Straży Pożarnej, przez pewien czas nawet prowadził sklep. Pomagał też rozwozić po Polsce te wszystkie narzędzia wyprodukowane przez sąsiadów. Żona wujka, czyli ciotka, była prostą, surową, ale dobrą kobietą, której świat sięgał najdalej do Lanckorony i Kalwarii Zebrzydowskiej. To ona na co dzień miała na głowie całe gospodarstwo, z krową, kurami i królikami. Dlatego kłócili się, czyli wadzili, z wujkiem dość często. Wujek i ciotka polubili małego nicponia z Wałbrzycha, może dlatego, że sami mieli tylko dwie córki. Wujek zabierał go często na motocyklowe wycieczki z sąsiadami, pojechał z nimi nawet w góry, do „Morskiego Oka”.

Wujek był ocyztany i zachęcał do czytania książek również młodego urwisa. To u niego trafił na książki James’a Olivera Coorwooda i jego wspaniałe opowieści o dzikich zwierzętach.

Podobało mu się w Sułkowicach. Był wolny jak ptak, miał tam przyjaciół: Tadka i Maryskę, z którymi ganiał po polach i lasach, i chlapał się w rzece. Ten wujek był jednym z bogatszych i mądrzejszych ludzi we wsi. Mieszkał w murowanym, piętrowym domu, w którym przez jakiś czas miał nawet ten wspomniany sklep spożywczy. We wsi kupowało się wtedy jeszcze na „funty” i „kwaterki”. A w piwnicy była oczywiście kuźnia.

Kilka razy spędzał tam całe dwa miesiące wakacji. Zdarzyło się też, że wraz z rodzicami pojechał do Sułkowic specjalnie na wesele jednej z córek wujka. Razem z Tadkiem nosili z piwnicy lemoniadę do sali weselnej. Rano znaleziono ich w stodole na sianie, bo jakoś tak przez przypadek spróbowali trochę tej lemoniady, która zadziałała na nich jak najlepszy środek usypiający.

To było prawdziwe, wiejskie wesele, z kapelą, przyśpiewkami i wszystkimi tradycyjnymi obrzędami. Mąż tej córki wrócił z wojska, służył w „Czerwonych beretach”, czyli w komandosach. To był dopiero gość, nasz huncwot patrzył na niego jak na prawdziwego, żywego bohatera. Dostał od niego prawdziwy nóż wojskowy, którym później chwalił się wszystkim kolegom. Córka wujka była mocno nowoczesną, wykształconą dziewczyną. Miała adapter; to tam pierwszy raz mógł usłyszeć piosenki „Filipinek”. Na zakończenie ostatnich wakacji w Sułkowicach dostał od wujka w prezencie swój pierwszy aparat fotograficzny „Ljubitel” – była to prosta lustrzanka produkcji radzieckiej, którą potem używał jeszcze przez długi szereg lat.

Jeśli nie spędzało się wakacji u rodziny na wsi to można było jechać na kolonie. Dzieci pracowników zakładów położonych na południu Polski zwykle wyjeżdżały na północ, nad morze lub nad jeziora. Jechały autobusami lub koleją. Dzieciarnię z Huty „Karol” zbierał i usadzał w autobusie kierownik o nazwisku Zielonka. Kierowca, niewiele dbający o to, czy wszyscy są już upakowani, pytał tylko bez przerwy: „No jak, jadziem panie Zielonka?” To „jadziem panie Zielonka” stało się ulubionym zwrotem dzieciaków. Wałbrzyskie dzieci wyjeżdżały nad morze, najczęściej w rejon Kołobrzegu, Pobierowa i Dziwnowa.

Kolonie dla dzieci wałbrzyskich górników i hutników były łączone z koloniami dla dzieci z Górnego Śląska. To wtedy nasz urwis dowiedział się, że jest bardzo istotna różnica między Zagłębiem a Hanysem, choć przyjaciół miał po obu stronach tej granicy - nieistniejącej już na mapie, ale nadal funkcjonującej w umysłach ludzi tam mieszkających.

Podobały mu się kolonijne piosenki. Nie tylko te patriotyczne, jak „Morze, nasze morze, wier nie ciebie będziem strzec” ale także te prześmiewcze, takie jak: „Podejrzałem raz kucharkę, jak kucharka jadła z garnka, całymi dniami mle, mle, mleko dżez ...itd.

Najbardziej podobał mu się jednak swego rodzaju protest song. Jeśli niczego nie przekręcę, to brzmiało to mniej, więcej tak:

„Ja nie chcę grzecznym być, ja chcę jak Indianin żyć.

W domu jak w pampasach biegać na golasa, lemoniadę z wanny pić.

Ja chcę jak Winnetou z tomahawkiem w ręku budzić się ze snu,

w jakiejś skalnej grocie oskalpować ciocię, bo ja nie chcę grzecznym być.

Ja tatę mam za lwa, mama głowę krokodyla ma,

stryj i ojciec mamy dwa hipopotamy a służąca małpa zła.

Ja sobie zrobię bal i całą rodzinę ciach na pal, zjem sześć pomarańczy, potem będę tańczyć mój indiański dziki tan : Śmierć bladej twarzy, ua ua a, niech się usmaży ua ua a, niech się smaży powolutku w własnym sosie aż do skutku, ua ua a”.

Były też przedstawienia, organizowane pod okiem wychowawców, na których koloniści odgrywali zabawne skecze lub zadawali zagadki, na przykład : - Co to jest ? Czarne na czerwonym jedzie po zielonym? Odpowiedź brzmiała: „Murzyn na Jawie jedzie po trawie”. Wyjaśnienie dla niezorientowanych: „Jawa” to był znakomity, czechosłowacki motocykl produkowany wyłącznie w kolorze czerwonym.

Wakacje były dobre i szybko mijały, trzeba było wracać do szkoły. Bardzo dziwne, ale miłe i ciepłe uczucie, ogarniało go, kiedy w drodze do domu, pociąg mijał Świebodzice i wjeżdżał w wałbrzyskie góry. Gdy za oknem wagonu pojawiały się głębokie wąwozy i odkryte głązy skał po obu stronach torów – znaczyło to, że pociąg zbliża się do dworca na Szczawienku. W budynku dworca kolejowego, na piętrze, mieszkała kiedyś rodzina Hauptmannów – rodziców noblisty Gerharta Hauptmanna. Przyszły pisarz i dramaturg uczył się wtedy we Wrocławiu i jego rodzice poprzez kolejarzy przekazywali mu prowiant, który następnie odbierał na Dworcu Świebodzkim, w stolicy Dolnego Śląska.

Szkoła nie była głównym i jedynym zajęciem naszego dzikusa. Uczył się dobrze, nauka nadal nie sprawiała mu większych trudności, ale też nie wzbudzała jeszcze większego zapału. Wciąż jeszcze traktował ją jako konieczność, robił co było do zrobienia i myślał raczej o tym, czym będzie zajmować się popołudniami na podwórku.

W pewnym momencie ogarnął dzieciaków prawdziwy szal dotyczący wózków na łożyskach kulkowych. Taki prosty wózek składał się z dwóch osi – tylnej, nieruchomej, z dwoma łożyskami na końcach i z ruchomej przedniej, z jednym lub dwoma łożyskami zamocowanymi pośrodku. Na tych osiach mocowana była mała platforma z równo przyciętych i połączonych desek. Tylne oś mocowana była do platformy na sztywno, a przednia przegubowo, za pomocą śruby, co umożliwiało kierowanie wózkiem. Przydatne drewno znajdowało się prawie w każdym domu, a łożyska kulkowe przynosili ojcowie z zakładów pracy. Oni też pomagali montować takie wózki.

Wózek brało się pod pachę i biegło z nim do najwyższego punktu asfaltowej ulicy. Tam siadało się na nim, najczęściej na klęczkach, i zjeżdżało w dół trzymając rękoma kierownicę.

Pruło się w dół środkiem ulicy, robiąc przy tym niezły hałas. Można było też zjeżdżać siedząc na wózku i kierując nogami, albo leżąc na brzuchu i trzymając nogi w górze.

Na szczęście ruch samochodowy na tych osiedlowych uliczkach był bardzo niewielki i do żadnych wypadków nie dochodziło.

Zimą chłopcy grali w hokeja, albo budowali lodowe ścieżki, często z niewielką skocznią na końcu. Prawdziwych lodowisk na Piaskowej Górze jeszcze nie było, więc sami je sobie przy-

gotowywali wylewając wieczorem wodę na uporządkowane miejsce. W nocy woda zamarzała i lodowisko było gotowe. Kije do hokeja robili ojcowie, krążek wycinało się z grubej gumy. Od biedy można było grać i zjeżdżać po lodzie na samych butach, ale prawdziwa jazda była tylko na łyżwach. Eleganckie panczeny, połączone trwale z butami, były poza zasięgiem dzieciarni z Piaskowej. Używali prymitywnych łyżew, mocowanych do zwykłych zimowych butów. Takie łyżwy, wraz z kluczykiem, blaszkami i wkrętami służącymi do zamocowania do butów, były powszechnie dostępne w sklepach Składnicy Harcerskiej.

Aby nasz dzikus mógł jeździć na takich łyżwach jego ojciec wyciągał ciężkie, żelazne, szewskie kopyto, po czym przybijał do obcasa jego butów grubą gumową podeszwę, w której wywiercało się płytką dziurkę. Dokładnie nad tą dziurką mocowało się na wkręty gotową blaszkę z eliptycznym otworem. Każda łyżwa miała z tyłu stopkę z odpowiednio ukształtowanym trzpieniem, który wsadzało się w ten przygotowany otwór w obcasie. Następnie przekręcało się łyżwę o 90 stopni, blokując tym samym łyżwę w obcasie buta. Z przodu ówczesne łyżwy wyposażone były w szczęki, których rozstaw i docisk do brzegów podeszwy buta regulowało się dołączonym do łyżew kluczykiem. Skomplikowane? Może tylko na początku, potem założenie łyżew odbywało się szybko: łyżwę wsadzało się w otwór w obcasie, prostopadłe do buta i po przekręceniu mocowało się ją jeszcze z przodu, przez dokręcenie kluczykiem szczęk do podeszwy buta. Takie łyżwy były niezbyt sztywno połączone z butami i stopami, dlatego często się odpinały i spadały, skutkiem czego, mówiąc najprościej, kontuzje były częste.

W przypadku naszego dzikusa takie zimowe zabawy skończyły się znacznie gorzej. Często zmarznięty i przemoczony zawzięcie brał udział we wszystkich, najbardziej szalonych zimowych zabawach, takich jak: wyścigi na łyżwach, skoki w dal na łyżwach, gra w hokeja, a w przerwach jeszcze w budowie fortec i bitwach na kule śniegowe. Trwały ferie zimowe, w domu szkoda było siedzieć. Po pewnym czasie zaczęły go jednak coraz mocniej boleć nogi w stawach biodrowych i rano z coraz większym trudem wstawał z łóżka. Aż pewnego pięknego, zimowego dnia już nie mógł stanąć na nogach. Nie mógł się na nich utrzymać. Ojciec zaniósł go na rękach do lekarza pediatry, który, na szczęście, mieszkał w sąsiedniej bramie.

Takie to były czasy – lekarze nie mieszkali jeszcze w odizolowanych od świata zewnętrznych willach, tylko w zwykłych komunalnych blokach mieszkalnych. Słowo blok nie miało wówczas tak negatywnego znaczenia jak dzisiejsze „blokowisko” – o nie, wtedy „bloki” to były nowoczesne, jasne, słoneczne, wielorodzinne budynki mieszkalne budowane zgodnie z teoriami Le Corbusiera, na nowych, przestrzennych osiedlach mieszkaniowych. O takich mieszkaniach ludzie marzyli.

Ten lekarz go uratował, dlatego do końca życia zapamiętał jego nazwisko – doktor Romaszkan. W dodatku, rzecz w dzisiejszych czasach nie do wiary, nie wziął nawet pieniędzy za tę pomoc, lecz natychmiast wypisał skierowanie do szpitala i wezwał karetkę pogotowia ratunkowego. Okazało się, że u młodego człowieka doszło do ostrego zapalenia stawów.

W efekcie dzikus musiał spędzić w szpitalu ponad pół roku. To była chyba piąta klasa podstawówki, ten rok szkolny kończył w szpitalu.

To był kolejny, ważny punkt zwrotny w jego życiu. Z dnia na dzień został całkowicie uzdymiony, koniec z szaleństwami i wszelkimi zabawami na świeżym powietrzu. Cóż z tego, że szybko doprowadzono do tego, że mógł się już poruszać, kiedy dostępny obszar ograniczał się tylko do korytarza i kilku pokoi oddziału szpitalnego przy ulicy Czerwonego Krzyża. Nie wiedział co ze sobą zrobić.

Po obowiązkowych zajęciach szkolnych, mocno ograniczonych, bo prowadzonych w szpitalu przez dojeżdżających nauczycieli, przez szereg dni nie mógł tam znaleźć sobie miejsca.

W końcu, chcąc nie chcąc, musiał się z pogodzić z takim uwięzieniem.

Uratowały go książki. W szpitalnej ciszy, pomiędzy lekarskimi obchodami i regularnym pobieraniem krwi do badań, odkrył magię książek, umiejętnie jeszcze podsycaną przez rodziców. W szpitalu była biblioteka. Było tam wiele ciekawych książek, między innymi „Szczęśliwy książę i inne opowiadania” Oskara Wilde’a oraz „Czarna Julka” Gustawa Morcinka. Od rodziców dostał „Wyprawę lorda Ansona dookoła świata”, która rozbudziła wyobraźnię chłopaka i zainteresowanie geografią świata. Wyobraźnia ta potrafiła wymalować w szpitalnych murach czar podróży przez morza i oceany.

Codziennosc była bardziej szara. Konieczne były codzienne badania. Szybko zorientował się, że najważniejsze było badanie krwi, nazywane OB (odczyn Biernackiego). Jeżeli OB było zbyt wysokie i wskazywało na utrzymujący się stan zapalny organizmu, serwowano mu kolejne dawki zastrzyków debecyliny, zapobiegających nawrotom gorączki reumatycznej.

Po szpitalu jeszcze przez długi czas musiał regularnie chodzić na badania i przyjmować te straszne zastrzyki – debecylina, to było coś takiego od czego sztywniało całe udo i to co mieści się powyżej. Ale najważniejsze, że leczenie było skuteczne, a dzięki lekcjom, jakie odbywały się w szpitalu, nie stracił roku.

Po pobycie w szpitalu i powrocie do szkoły dużo się zmieniło. Dawny dzikus polubił naukę. Rozpoczął się nowy etap jego stopniowej cywilizacji. Tak naprawdę to dopiero od tej szóstej klasy zaczął widzieć sens nauki – niewątpliwie wpłynął na to pobyt w szpitalu, choć równie wielką była w tym rola wspaniałych nauczycieli, na których po powrocie ze szpitala trafił w swojej szkole. Należał do rocznika, który miał w praktyce sprawdzić wprowadzaną reformę szkolnictwa i jako pierwszy ukończyć ośmioklasową szkołę podstawową.

Teraz chciał pokazać, że wcale nie stracił zbyt wiele podczas pobytu w szpitalu i po powrocie chciał być jak najlepszy. Jak to zwykle bywa w szkolnych społecznościach, szybko utworzyły się dwie grupy, jedna, która chciała się czegoś nauczyć, i druga, która chciała tylko prześliznąć się do kolejnych klas. Nasz dzikus postanowił współzawodniczyć z najlepszymi.

Pewnego razu jeden z nauczycieli pokazał mu wielki atlas świata – dziś to może wydać się śmieszne, ale wtedy było to dla niego czymś wspaniałym, wielkim przeżyciem otwierającym ogromny, nieznany świat. Nie mógł się od niego oderwać. Wielkie karty atlasu szczegółowo przedstawiały poszczególne regiony świata, morza, góry, jeziora, rzeki. Poprzez książki podsuwane mu przez tego nauczyciela zaczął poznawać ten szeroki, odległy świat – w parze z geografią poszło zainteresowanie historią świata. Jego nauczycielkę historii fascynowały czasy napoleońskie i tą swoją fascynacją próbowała zarazić uczniów. Dzisiaj, lepiej znając historię Europy i Świata, na pewno inaczej oceniałby postać Napoleona i jego wyczyny, ale wtedy pociągała go ta wielka przygoda. Z zapamiętaniem śledził także losy fikcyjnych, powieściowych bohaterów Juliusza Verne’a, opisane w takich książkach, jak : „Piętnastoletni kapitan”, „Tajemnicza wyspa” czy „20000 mil podmorskiej żeglugi”.

W kiosku „Ruchu” kupował gazetę „Świat Młodych”, w której drukowany był popularny komiks „Tytus, Romek i Atomek” oraz kapitalny „Album odkryć i wynalazków”, wspaniały cykl przeznaczony do wycinania i kolekcjonowania.

Był to też czas, kiedy zaraził się filatelistyką. Znaczki również uczyły geografii i historii. Fascynacja filatelistyką nie opuściła go do dzisiaj, choć z uwagi na rozwój telekomunikacji i łączności elektronicznej, era znaczka pocztowego chyba się już kończy.

Od czasu do czasu rodzice zabierali go do kina; już nie na poranki tylko na prawdziwe filmy. W Wałbrzychu kin nie brakowało – prawie każda dzielnica miała swoje kino. Najbliżej, na

Szczawienku było kino „Barbórka” – tam obejrzał ogromnie wzruszający film p.t. „Rudzielec” oraz niesamowity, radziecki film „Diabeł morski”, o człowieku, któremu dla ratowania życia ojciec w miejsce płuc przeszczepił skrzela i odtąd mógł on już żyć tylko w środowisku wodnym. Równie blisko było kino „Apollo” (jedno z niewielu, które zachowało się do dzisiaj) w centrum Starego Zdroju. W kinie „Apollo” obejrzał „Rio Bravo”, niezapomniany western z Johnem Waynem, idolem wszystkich chłopaków w jego wieku. Później cały sentyment, jakim darzył tego aktora, przepadł zupełnie, gdy zagrał w filmie „Zielone Berety”, wychwalającym wątpliwe bohaterstwo amerykańskich marines w wojnie wietnamskiej. To z „Rio Bravo” pochodzi kapitalna ballada śpiewana przez Deana Martina i Ricky Nelsona. Był też film „Karmazynowy pirat”, który wraz z rodzicami oglądał w „nowoczesnym”, panoramicznym kinie „Victoria” w Górniczym Domu Kultury na Sobiecinie. Tego kina już nie ma; sala kinowa wykorzystywana jest obecnie jako audytorium Wyższej Szkoły Zarządzania i Przedsiębiorczości.

Choć uczył się dobrze i został jednym z lepszych uczniów w klasie, nie był kujonem. Wciąż ciągnęło go do nieznanego i do przygód. Z czasem zapomniał o szpitalu i przebytych dolegliwościach. Poza szkołą, która nie była już tylko obowiązkiem, nie zapominał o zabawie; wróciła piłka nożna i szaleństwo na rowerach.

Kiedy już pot zalewał mu oczy, aby ugasić pragnienie nie musiał gnać do domu lub lecieć do sklepu. Przed barakami firmy budującej osiedle na Piaskowej Górze codziennie wystawiany był ogromny, aluminiowy kocioł pełen kawy zbożowej, a obok na ścianie wisiał kubek i chochla, którą każdy spragniony mógł sobie nalać tej kawy. Kubek można było wypłukać zimną wodą z kranu wystającego ze ściany baraku. Jakoś żaden Sanepid wówczas się do tego nie przyczepił i do epidemii też nie doszło.

W tamtym czasie bywało, że chcąc pomóc finansowo rodzicom, sprzedawał na osiedlu kwiaty: mieczyki i astry, których sporo wyrosło na polu uprawianym przez ojca. To niby żaden wstyd, ale trochę się krępował. Przed pawilonem sklepowym, gdzie przewijało się sporo ludzi, ustawiał jedno lub dwa wiadra wypełnione kolorowymi mieczykami i sprzedawał je na sztuki. To była znacząca pomoc, w domu była przecież jeszcze dwójka młodszych dzieci.

To był też czas pierwszych przyjaźni oraz młodzieńczych miłości - głupich, naiwnych ale bardzo szczerych fascynacji. Najczęściej kochano się oczywiście w koleżankach szkolnych. Okazywanie miłości polegało na odprowadzaniu do domu, pomocy we wszelkich szkolnych i pozaszkolnych zajęciach oraz na obronie przed napastliwością innych kolegów. Czasami, w przypadku obrazy honoru, dochodziło nawet do bójek – honorowych pojedynków.

Wyzywało się przeciwnika „na ubitą ziemię” gdzieś na boisku, poza wzrokiem nauczycieli i tam w otoczeniu wianuszka kibiców z obu stron, stawało się do pojedynku. Wyglądało to jak zapasy z elementami boksu. Kiedy przeciwnik leżał już na plecach, położony na łopatkach, należało zapytać czy ma już dosyć. Kiedy odpowiadał twierdząco – pojedynek się kończył i zwycięzca odchodził w glorii sławy, a pokonany odgrażał się mruczając pod nosem: „On jeszcze zobaczy”. Były określone reguły walki; nie wolno było używać żadnych dodatkowych narzędzi czy kamieni, nic tylko gołe ręce, tak jak walczyli Pietrzykowski, Walasek, Grudzień czy Kulej – nasi wspaniali bokserzy-olimpijczycy.

Ze wstydem trzeba przyznać, że już w szkole podstawowej zaczął palić papierosy. W tamtych czasach wszyscy dorośli mężczyźni palili, jego ojciec również. Palili robotnicy i inteligencja. Palili w pracy i po pracy; taki był styl bycia, dodatkowo lansowany przez telewizję i kino. Młodzieży to imponowało. Dzisiaj to brzmi kuriozalnie ale prawdą jest, że najtańsze i najpopularniejsze papierosy nazywały się „Sport”. Były też papierosy „Giewont”, „Silesia” i „Ekstra

Mocne”, sprzedawane w paczkach po 20 sztuk. „Sporty” można było kupić w kiosku „Ruchu” także w dziesiątkach, a nawet na sztuki.

Palić nauczyli go drugorocznicy. Wyciągali go na teren budowy, gdzie można się było ukryć w wykopach i tam tłumaczyli mu jak należy się zaciągać. Choć mu to nie smakowało, choć się dusił i kaszłał jak najęty – trzeba było próbować, aby pokazać, że on też potrafi i wcale się nie boi. Nieco później wyjeżdżał rowerem gdzieś na ubocze, aby nikt go nie widział i tam zapalał sobie takiego pogniecionego „sporta”. Kupioną paczkę papierosów chował na klatce schodowej za licznikami.

Od siódmej klasy podstawówki zaczęły się też pierwsze, pozaszkolne zabawy z tańcami – bardzo popularne były prywatki urządzone w domach kolegów lub koleżanek. Nasz bardzo już ucywilizowany dzikus mógł wtedy zadawać szyku – od kuzynki z Francji, jego rówieśniczki, otrzymał w paczce 2 płyty gramofonowe z nagraniami najmodniejszych wówczas wykonawców. Była to czwórka Salvatore Adamo z jego przebojami: „Tombe la neige” i „Vien, vien ma brune” oraz czwórka zespołu The Beatles, podbijającego w tym czasie cały świat, z piosenkami „Girl” i „Michele”.

Wciąż był jednak jeszcze trochę dziki, i choć niektóre dziewczęta bardzo mu się podobały to wielka nieśmiałość i jakiś niezrozumiały wstyd nie pozwalały mu na okazywanie im cieplejszych uczuć. Już samo dotykanie i trzymanie się za ręce było dużym przeżyciem a w jego przypadku wręcz sukcesem.

Podczas jednej z pierwszych prywatek, jedna z dziewcząt mocno się do niego przytuliła w tańcu, a gdy piosenka się skończyła wyciągnęła go delikatnie na ciemny korytarz klatki schodowej, gdzie koniecznie chciała się z nim całować. Wystraszył się nie na żarty i szybko uciekł z tej prywatki. Taki to był dzikus. Instynkt jeszcze się nie obudził, a może to nie była „ta” dziewczyna.

I jeszcze jedno; w ostatnich latach podstawówki przekonał się, że ogromnie boi się wszelkich występów publicznych. Nie chodzi tu o problemy z pamięciowym przyswajaniem sobie jakichś dłuższych tekstów – to nie to, pamięć miał dość dobrą. Ale ilekroć przyszło mu wystąpić przed większym audytorium, zabijała go trema nie do opanowania, ogarniał potworny strach, obawa, że wszystko pomiesza i zepsuje. Ten strach paraliżował, powodował pustkę w głowie, narastającą panikę i chęć ucieczki lub przynajmniej zapadnięcia się pod ziemię. Ta ciężka dolegliwość później wielokrotnie przeszkadzała mu w życiu.

Kończyła się szkoła podstawowa. Ósma klasa to była już czysta przyjemność. Powtórki materiału, wyprawy do teatru i dalsze wycieczki. Nauczyciele byli dumni z tego eksperymentalnego ósmego roku, ósmoklasistów traktowali już prawie jak dorosłych. Wyniki były bardzo dobre. Nasz dzikus też był dumny; szkołę kończył z wyróżnieniem, w ostatnim roku koledzy i koleżanki wybrali go nawet na przewodniczącego samorządu klasowego. Zasmakował w nauce, bardzo chciał ją kontynuować, marzyła mu się kariera dziennikarza. Rodzice byli z niego dumni, stawiali go za wzór dla młodszego rodzeństwa. Do tego pojawiła się jeszcze dziewczyna, koleżanka klasowa, którą lubił i która też najwyraźniej go lubiła. Pełnia szczęścia. Wydawało się, że dzikus został całkowicie ucywilizowany i przygotowany do dalszego, odważnego życia w społeczeństwie. Miał 14 lat, był w pełni sił i pełen nadziei na przyszłość. Wydawało mu się, że jeśli tylko będzie chciał, będzie mógł osiągnąć wszystko. Nauczyciele go w tym silnie utwierdzali, ich zdaniem był bardzo zdolnym uczniem. Było lato, świat był piękny, przyszłość zapowiadała się bardzo dobrze, więc on też był pełen nadziei na tę nieznaną przyszłość.

Nie wiedział jakie niebezpieczeństwa czekały na tej jego przyszłej drodze. Cóż to jest 14 lat? Niby niewiele, a jednak żyje się wtedy naprawdę pełną parą, wszystko odczuwa się ze zdwojoną mocą, i jeśli ma się w tym wieku silną wiarę w swoją szczęśliwą gwiazdę, łatwiej przychodzi pokonywać przeszkody, które nieprzewidywalny i nieubłagany los stawia nam w dalszym życiu. On wtedy miał tę wiarę.